

SPÓR o HŁASKE

Najpierw przyznano Markowi Hłasce Nagrodę Wydawców — dopiero potem ruszyły szersze dyskusje nad jego pisarstwem. Wśród wielu głosów „za” i „przeciw” Hłasce wyróżniają się opinie znanych krytyków Artura Sandauera i Jana Błońskiego, które ukazały się ostatnio na łamach „Życia Warszawy” z okazji wywiadu, udzielonego przez autora „Pierwszego kroku w chmurach” rozgłosu Polskiego Radia. Naszym zdaniem dyskusja obu krytyków jest ciekawsza niż sam wywiad — toteż zamieszczamy ją z pewnymi skrótami.

Ponieważ utwory Hłaski cieszą się dużą poczytnością, zwłaszcza młodzieży, przypuszczamy, że dyskusja ta może zainteresować również naszych Czytelników. (Red.)

ARTUR SANDAUER: Nic nie mam przeciw cynizmowi — przeciwnie, daleko więcej go słyszę w „Życiu Warszawy” niż w „Przeglądzie” — przeciw Hłasce wyróżniają się opinie znanych krytyków Artura Sandauera i Jana Błońskiego, które ukazały się ostatnio na łamach „Życia Warszawy” z okazji wywiadu, udzielonego przez autora „Pierwszego kroku w chmurach” rozgłosu Polskiego Radia. Naszym zdaniem dyskusja obu krytyków jest ciekawsza niż sam wywiad — toteż zamieszczamy ją z pewnymi skrótami.

Ponieważ utwory Hłaski cieszą się dużą poczytnością, zwłaszcza młodzieży, przypuszczamy, że dyskusja ta może zainteresować również naszych Czytelników. (Red.)

ARTUR SANDAUER: Nic nie mam przeciw cynizmowi — przeciwnie, daleko więcej go słyszę w „Życiu Warszawy” niż w „Przeglądzie” — przeciw Hłasce wyróżniają się opinie znanych krytyków Artura Sandauera i Jana Błońskiego, które ukazały się ostatnio na łamach „Życia Warszawy” z okazji wywiadu, udzielonego przez autora „Pierwszego kroku w chmurach” rozgłosu Polskiego Radia. Naszym zdaniem dyskusja obu krytyków jest ciekawsza niż sam wywiad — toteż zamieszczamy ją z pewnymi skrótami.

Ponieważ utwory Hłaski cieszą się dużą poczytnością, zwłaszcza młodzieży, przypuszczamy, że dyskusja ta może zainteresować również naszych Czytelników. (Red.)

Przy tym wszystkim chciałbym jednak zaznaczyć, że przeobrażam bardzo wyraźnie różnicę między debiutem Hłaski a jego obecną produkcją.

JAN BŁOŃSKI: Szczerze, bezpośredniość w wyrażaniu prostych spraw stanowi właściwość Hłaski. Pewna dezynwoltura, nonszalancja — mnie nie razi, raczej budzi sympatię. Oczywiście sama szczerść może stać się bardzo szybko manierą, bo w końcu nikt nie jest nigdy całkowicie szczery. Można powiedzieć, że dysponuje tylko pewnym rodzajem szczerości, który później powtarza.

Hłasko podaje się sam i pozwala się uważać za przedstawiciela młodego pokolenia. Ja zaś jestem zdania, że pisarz tylko przez krótki czas może pozwolić, by uważano go za przedstawiciela czegokolwiek. Później musi stać się swoim własnym przedstawicielem, reprezentować tylko siebie, słowem — wyrastać ponad pokolenie.

Zresztą, moim zdaniem, opinie Hłaski o młodzi, od której jest o kilka lat starszy,

KONSTANTY
ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI

SPOTKANIE z MATKĄ

(Fragmenty)

O na mi pierwsza pokazała księżyc
i pierwszy śnieg na świerkach,
i pierwszy deszcz.

Byłem wtedy mały jak muszelka,
a czarna suknia matki szumiła jak Morze Czarne.

Noc.

Dopala się nafta w lampce.
Lamentuje nad uchem komar.
Może to ty, matko, na niebie
jesteś tymi gwiazdkami killkoma?

Albo na jeziorze żaglem białym?
Albo falą w brzegi pochyłe?
Może twoje dłonie posypały
mój manuskrypt gwiazdowym pyłem?

A może jest południowa godzina,
mazur pszczoł w złotych sierpniach pokojach?
Wczoraj szpilkę znalazłem w trzcinach —
od włosów. Czy to nie twoja?



Ciemne olchy stoją na mozarze,
rozsypane się w mokradłach próchno.
Ej, rozwiał się wiatr na fujarzy,
małe gwiazdki nad olchami zdmuchnął.

Mała myszka przez ścieżkę przebiegła.
Drogą Mleczną nietoperz wymierzył.
I wiatr ucichł nagle. I zza węgla
z fajką srebrną w zębach wyszedł księżyc.

Rozświeciły się świeceniem wielkim
chmury, dziuple, żołądki i sęki —
jakby cały świat był srebrnym świerkiem,
srebrnym bakiem grającym piosenki.



Jak pudełko świeczek choinkowych
nagle w ręce, gdzieś od dna kredensu,
myśli nagle tak wchodzi do głowy,
serce trąca i sercem zatrząsa.

Świeczki takie kupowała mama.
One drzemia. W nich śpi piękny zamiar.

Tylko rozwiń je i tylko zapal,
a zobaczysz, co z tego wyniknie:
w świeczkach błysnie drogiej twarzy owal.
Matka palec wzniesie. Wiatr ucichnie.

Matkę w ręce ucałuj i włosy,
potem śniegu po uliczkach rozsyp,
żeby błyskał się i żeby chrząścił.

Potem wszystkie światła, co migocą,
do walizki zamknij. Otwórz nocą,
jeśli w drodze spotka cię nieszczęście.



Rys.: S. Mrowiński

nia: „Żyją na farmach, zajmują się rybołówstwem, polowaniem”. Niech Hłasko sobie też chodzi na ryby, nikt mu w tym nie przeszkadza. I jeszcze jedno: Hłasko przyniósł nam cenne informacje ze świata młodzieżowo-chuligańskiego. Niestety, jest cechą naszego życia literackiego, że debiutant — po pierwszych sukcesach — natychmiast deklasuje się, to znaczy traci kontakt ze środowiskiem, które było dlań kopalnią tematów. Wtedy zaczyna się powtarzać, bo nie ma już nowych doświadczeń. Oto zasadnicza różnica między literaturą naszą a amerykańską. Amerykański pisarz pojawia się w Nowym Jorku na bardzo krótko, po czym wraca do swego środowiska. Taki Hłasko natomiast tkwi już w obecnej chwili w środowisku literackim i dlatego brzdąka wciąż na tej samej strunie.

SANDAUER: Myślę, że różnica między nami wynika stąd, że Pan nie zna ostatnich utworów Hłaski. Bardzo lubię Hłaskę z 1956 r.; w obecnych jednak jego utworach jest jakaś minoderia, jakieś wieszcze pretensje. Jakaś pogoda za brakowym efektem. Trzeba tego, niewątpliwie bardzo zdolnego, pisarza zawrócić z tej drogi.

BŁOŃSKI: Taka jest sytuacja, że gdy tylko pojawia się zdolny pisarz, wszyscy padają przed nim na kolana. Te praktyki wywołują obrzydliwe obcowanie literackie wśród debiutantów, znacznie mniej zdolnych od Hłaski.

SANDAUER: W końcu Hłasko napisał 5 czy 6 dobrych opowiadań. Jak na Nagrodę Wydawców, to chyba za mało.

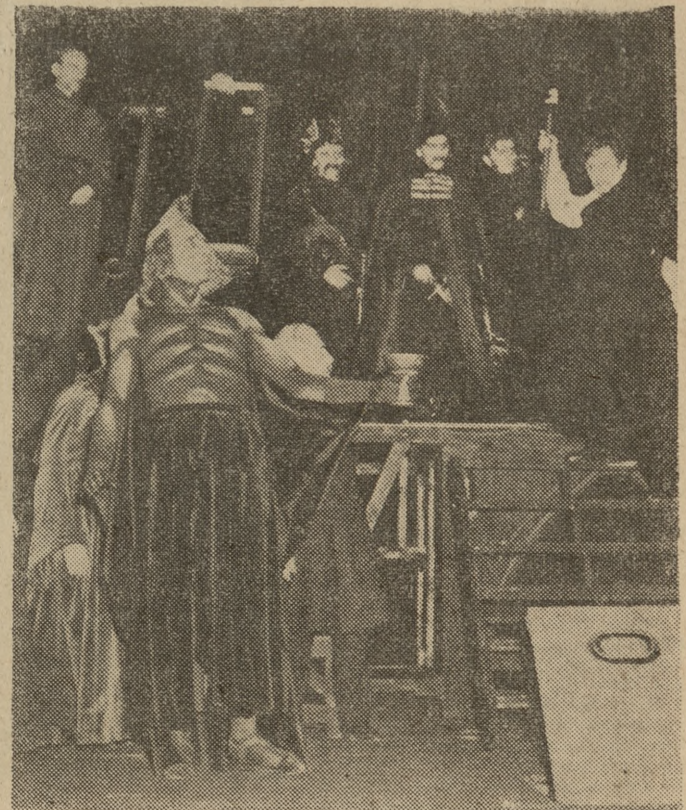
BŁOŃSKI: Ja uważam, że nagroda się Hłasce należała. Nagroda swoją drogą, a krytyka swoją.

SANDAUER: Mamy tu jednak do czynienia z pisarzem znanym i zdolnym, któremu musimy dać całkowitą swobodę wypowiedzi. Winni są tylko ci, którzy zbyt szybko wywinęli Hłaskę, nie bacząc na jego intelektualną niedojrzałość.

BŁOŃSKI: Cały zamęt i hałas wokół Hłaski jest niedobry. Może on czuć się bardzo dotknięty przez napaści, czy krytyki, które na ogół chodzą gromadnie — stąd przekonanie, że się go prześladowa. Trzeba to wszystko sprowadzić na teren rzetelnej dyskusji literackiej.

SANDAUER: Historyczne tempo.

BŁOŃSKI: Właśnie! Z tego, że Hłasko napisał jedną czy dwie złe książki, nie (Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. — CAF

ROK WYSPIAŃSKIEGO

Jak zawsze w związku z takim wydarzeniem — premierą, dyskusje, polemiki w prasie, rewizje poglądów na twórczość i osobowość Wyspiańskiego. Premiera sztuk poety mimo że od prapremiery stały się kluczowymi wydarzeniami obecnego sezonu teatralnego, tym bardziej że w minionym okresie jego twórczość była pomijana w repertuarach naszych teatrów. Krańcem najbardziej „żyje” atmosfera Roku Wyspiańskiego. Wspaniała wystawa poświęcona poecie, no i przede wszystkim zbiorowej III aktu „Występ” premiera „Wyzwolenia”. Reżyseria i inscenizacja — Br. Wym w Warszawie. W roli Dąbrowski, scenografia — A. Konrada — Tadeusz Białostopka, muzyka — A. Małyszewski. Reżyseria — Władysław Horzycy. (A. M.)

Widziałam krakowskie „Wyzwolenie”. Szokuje nowoczesnością wystawienia. Zupełnie



PRZEDWIOŚNIE

Fot.: E. Kitzmann

Lubiłam zawsze przesiadywać w pokoju pani Marii. Wszystko w nim tak doskonale harmonizowało ze sobą. Kilimy do koloru ścian, poduszki — do obicia kozetki. Najwięcej uroku dodawały kwiaty: kwitnące fiołki alpejskie, fuksje w różnych odcieniach, asparagus zwisające do podłogi — cienie, zielone gałązki.

Po wojnie u pani Marii nie zmieniło się wiele. Może trochę wyblakły obicia i wypięta tapeta na ścianach, a kolorowe poduszki przybrały jaśniejszy ton, przybyło natomiast więcej kwiatów, pojawiła się wspaniała palma, wyhodowana pieczołowitą ręką pani Marii i kilka doniczek przeróżnych roślin.

Zmieniła się natomiast gospodyni. Stała się uosobieniem oczekiwania. Było to spostrzeżenie, o którym nigdy z nią nie rozmawiałam.

15 lat — to niemały szmat czasu. A mimo to nie trzeba jakiegś nadludzkiej miłości, aby przez te lata pozostać wiernym swym uczuciom. Pani Maria nie sprzeniewierzyła się nigdy ani na chwilę swojej miłości.

Pamiętam dobrze okres krótko po wojnie. Wówczas konieczność zmuszała ją do wyjścia z domu. Lękała się, że właśnie w tym momencie może nadejść Terenia. Po roku nadszedł okres chwilowej rezygnacji. Może nie żyje? Moje próby pocieszania zbywała milczeniem. Byłam zresztą przekonana, że myśl o ewentualnej śmierci Tereni nawet przez chwilę nie opanowała jej całkowicie.

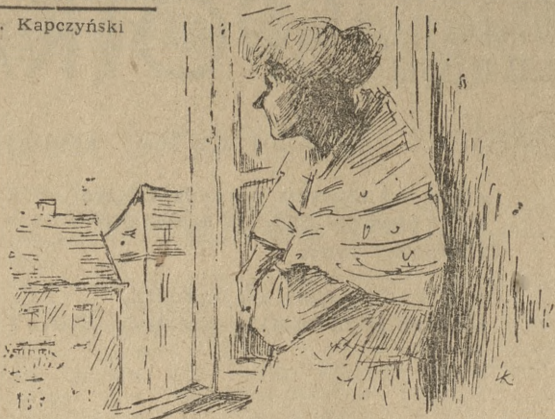
Upłynęło jeszcze wiele dni, zanim nadszedł ten tak bardzo oczekiwany list. Od tej chwili pani Maria odżyła. Krzątała się żywiej po pokoju, stała się rozmowniejsza. Tematem naszych pogawędek była najczęściej osoba Tereni. Krążyła wspomnieniem po odległych latach. Pamiętała wszystko, co przypominało Terenię, co było związane z jej dzieciństwem, młodością.

Znałam więc dobrze Terenię — taką jaką chciała widzieć i widziała pani Maria. Ten obraz pozostał we mnie aż do czasu przeczytania pierwszego listu. Krótka, lakoniczna wiadomość. Stchórzyłam. Nie powiedziałam ani jednego słowa. Nie mogłam. Ujrzałam głęboką przepaść, jaką wytworzyła się między panią Marią a jej córką.

Potem nadeszły dni pełne oczekiwania na listy, które były podobne do siebie. Oszło. Nie znalazłam w nich

Anna Siekierska

II. L. Kapczyński



OCZEKIWANIE

ani jednej cieplejszej nuty, troski o samotność staruszki.

Chyba tylko dlatego, że tak nieustępliwie omijałam w rozmowach postać Tereni, wyczułam u p. Marii pewną rezerwę. Dotknęło mnie to boleśnie. Ta staruszka, uosobienie pogody i łagodności — była w pewnych chwilach nieodzownie potrzebna. Posiadała rzadki dar ukochania życia i ludzi. Zaden dotychczas cios nie potrafił jej wytrącić tej broni z ręki.

W końcu jednak te listy wzbudzały coraz wyraźniejszy niepokój u pani Marii. Jakże często miałam ochotę odebrać p. Marii złudę i z całą jaskrawością przedstawić jej prawdę. Bolesną prawdę, że Terenia wyrwana przez okupanta z rodzinnego domu i tułająca się przez szereg lat po obcych krajach, zagubiła miłość do matki. Los rzucił ją wśród obcych. I na nich przełała swe uczucia. Dom stał się daleki, bez którego potrafiła się obyć.

Nie uczyniłam tego. Gdyby zabrakło jej tej miłości, budowanej na mocnych fundamentach, cóż stałoby się z wier- nym sercem pani Marii.

Pewnego dnia nadeszła wiadomość, że Terenia przyjedzie odwiedzić miasto swojego dzieciństwa. Rozpoczęły się codzienne przygotowania.

I mnie udzielił się radosny nastrój. Tak bardzo cieszyłam się, że pragnienie pani Marii nareszcie zostanie spełnione. Nasze pogawędki znów stały się serdeczne. Razem chodziliśmy do krawcowej, która przerabiała starą sukienkę. Wspólnie przestawialiśmy meble, ustawialiśmy kwaty na oknach i stolikach.

A potem nadszedł telegram.

✱

Terenię widziałam kilka razy. I wtedy po raz pierwszy przestałam na nią patrzeć oczami pani Marii. Zobaczyłam ją całkowicie w innym świetle, taką, jaką była w istocie. Po raz wtóry stchórzyłam. Bałam się powiedzieć prawdę. Przestałam odwiedzać pokój pełen kwiatów. Nie mogłam patrzeć na zdziwienie w oczach pani Marii. Bo ona jeszcze nie wierzyła w stratę uczuć. Do Tereni miałam żal. Ogromny żal. Dlaczego w tak okrutny sposób odbierała starej kobiecie jedyną i największą złudę życia? Może zrobiła to bezwiednie. Ale czyż mając serce, można nie odczuć uderzeń drugiego serca?

Anna SIEKIEŃSKA

Na półce z książkami

Często tak jest przy recenzji debiutu, że trzeba się bać w proroka. Jeśli recenzent nie, pisze sobie a muzom (która to ta krytyczna?) powinien autorowi pomagać w wyszukiwaniu dróg.

Pierwsza książka Gerarda Górnickiego pod niepokojącym tytułem „Sybirca” (wydało „Wyd. Poznańskie”) jest jak mi wnoszą wypadki, rzuceniem drewnianka na wodę by patrzeć, w którą stronę prąd niesie? Próba możliwości, sprawdzian ambicji, pytanie postawione czytelnikowi: co sądzi?

Lektura młodego poznańskiego pisarza podsuwała nieufne wnioski, odkładane przeto z dnia na dzień, sprawdzane z tekstem, weryfikowane od nowa — a czas uleciał i książka już prawie straszyla na biurku — nie omówiona. Oj, kłopot z recenzowaniem pierwszych porównań ducha, kłopot zwiększający szczególną odpowiedzialność, aby nie podpowiadać fałszywie zaraz u wstępu na nowy, tajemny ład.

A zatem sześć opowiadań, których faktura rzeczowa i realia dać mogły nieklamany obraz Małopolski lat międzywojennych. Geografia podgórskiej, chłopskiej biedy, sfa- bularyzowana kronika tęsknot za Ameryką, daleką, epicką, tak — epickie zadatki na obfity, barwny, niemal awanturniczy żywot ludzki, jakże w bogactwie odległy od bytowania chłopca z innych okolic Polski.

Tej Małopolski okruczeń, podgórskiej i najbardziej ubogiej — jest w prozie o której mowa. Oszczędną dawką ręką, stylizowaną nadmiernie bez właściwego tamtejszym ludziom romantyzmu, co w sumie klimat oddała i akcję

zawiesza w półpróżni. Tej szansie, nie najtrudniejszej przecież przy znajomości środowiska (którą autor posiada) wyszedł Górnicki zaledwie w ćwierć drogi. Trudno, nawet w debiucie należy się zdecydować. Jest zawsze jakieś wodzące ogniwo, skłaniające gro- madzone środki do określonego układu, kierujące wyborem postaci, charakterów i losów, ustalające sens utworu, który zostaje po zamknięciu ostatniej strony — i żyje sobie niezależnie od szczegółowych spraw opowieści.

Tymczasem Górnicki marnuje kupę interesujących obserwacji sytuacyjnych, rozwala fakturę czasową „Domu na skarpie”, „Sybirca”, pojmując zachłannie na długie i odległe terminy zdarzeń tabularnych, buduje coś na kształt rozległych konspektów powieściowych, wreszcie nie daje point, gdzie można przystanąć by zwrócić oczy za siebie w oczekiwaniu refleksji. Decyzja. Tak jest — orak tej decyzji klasa można na niedostatki warsztatu — stwierdzenie niezwykle łatwe, kryjące jedynie część prawdy. Być może autor nie czuje trybu opowiadania. Są pisarze — przeciwnicy wąskiego kołnierzyka. Jakż wżąd rozpęd jeśli już kończyć wypadki? Lecz te znamiona psychologiczne są w debiucie całkowicie do przyjęcia.

Smuci mnie za to mialkość tej prozy i brak proporcji. Dlaczego blahe dialogi, dialogi wiodące do nikąd, zarasta- ją wielosłowniem nurt istot- ny? Dlaczego epizod wy- obcowany z całości, żyje samodzielnie na przestrzeni jed- nego lub kilku akapitów? Dlaczego sens „Córki” jest albo zbyt blaży, albo wręcz nieczytelny?

Smucą mnie również акцен- ty, znamiona niedawnego okresu, dzisiaj żenujące („Ciała leżą nie pogrzebane”) i ten klimacik charakterystycz- ny, w którym unurzano opowiadanie o A. K. Po co owa minoderia? Książka ujrzała światło dnia pod ko- niec 1957 r.

Cieszą natomiast dzieje miej- skiego zamiataacza, hycła, ho- dowcy gołębi — Sybircy.

Wbrew nieskładnościom kompozycyjnym, mimo braku decyzji i braku twórczego wy- boru jest w tytułowej opowie- ści owa próba rzetelnej for- muły losu, błędzące po pe- ryeriach życia o ustalonych kanonach. Dziwność bytowa- nia, samotność — i blizszyż jaskrawo kawałek zawartej w nim prawdy. O filozofii tu mó- wić za wcześnie — czas my- śleć nad odpowiedzią prowo- kowaną pytaniem zadanym na wstępie: którą drogą?

Chwileczkę. Bo droga prowa- dzi być może poprzez „Mlecz- arza”. Wskakuje ów „kawałek z tomu i w swoim bieży kierunku. Zamknięty, budowany świadome, o zgola nielicznych mielnicach — nie waham się stwierdzić: dojrzały. Jeśli doświadczenie tomu na rós- się liczy — rezygnowałbym z wą- skiego kołnierzyka, co rozumieć należy w ten sposób, iż komu nie służy ciasnota, nie od razu musi wyjeżdżać na pustynie, by cał- kiem unikać ludzi.

Przemysław BYSTRZYCKI

SPÓR o HŁASKE

(Dokończenie ze str. 1)

nie wynika. Nic też nie wy- nikalo z tego, że napisał on jedną dobrą książkę. Wszystko to jest dopiero początek. Nie tylko w perspektywie literatu- ry, ale nawet w perspektywie życia jednego utalentowanego człowieka dwie książki — to jeszcze nic nie jest. Mam na- dzieję, że Hłasko napisze jesz- cze 40 książek, jak Sienkie- wicz czy Żeromski i że będzie najlepszym pisarzem mając 55, 65 lat. To powinien być naj- późniejszy wiek dla pisarza.

SANDAUER: Wypadek Hła- ski nie jest odoobniony. Bar- dzo wielu naszych pisarzy na- pisało parę dobrych opowia- dan, aby później spocząć na laurach. Jest to wina krytyki, która od razu mianuje ich wieszczami.

BLONSKI: Powtarzam, że jestem ciągle za Hłaską. Je- stem pewien, że odnajdzie on siebie po raz drugi, zdobędzie nowe doświadczenia.

SANDAUER: Oby!

nowinki filmowe

Doskonałą aktorkę Marię Shell („Ostatni most”) oglądać znów będziemy wkrótce w filmie Clemen- ta pt. „Gervaise”. Adaptacja po- wieści Zoli — „W matni” wy- pada znakomicie, a Maria Shell stworzyła jeszcze jedną niezapom- nianą kreację.

✱

„Ewa chce spać” — w wykona- niu młodzieńkiej, nowej gwiazdki polskiej — Barbary Kwiatkowskiej — to dwie godziny przyjemnej i inteligentnej zabawy. Komedie jest naprawdę dowcipna i leciutko zaprawiona surrealizmem.

✱

Niech was nie odstrasza niezachęcający tytuł: „Sprawa Mauri- zusa”, to wcale nie nudna pila, lecz ciekawy, dobrze zrobiony, kry- minalny film francusko - włoski (wg powieści J. Wassermann). W roli głównej zobaczmy Daniela Gelin (znanego z „Edwarda i Ka- roliny”). Film jest dubbingowany, ale dość dobrze.

✱

Policja filadelfijska (USA) skon- fiskowała w dwóch kinach miasta kopię filmu francuskiego pt. „I Bóg stworzył kobietę...” z Brigitte Bardot. Dyrektorzy sal zostali a- resztowani pod zarzutem „rozpo- wieszczania obrzydliwego filmu”, po czym wypuszczeni na wolność za kaucją po 500 dolarów.

Film „I Bóg stworzył kobietę...” zobaczmy niebawem w Polsce.

✱

Włoski reżyser Luigi Comencini realizował film pt. „Ty i mój syn”. Obok aktorów zawodowych zaangażował on do jednej z ról amatora. Był nim zawodowy zło- dziej, liści platanowych, które sprzedawał handlarzom ryb do pa- kowania towaru.

✱

Włoski aktor Anthony Franciosa (grał w filmie amerykańskim „Ka- pelusz pełen deszczu”) wystąpi w filmie produkcji włosko-ameryka- Ńskiej pt. „Francisco Goya” — w roli tytułowej. Ava Gardner, któ- ra widzieliśmy w filmie „Bosono- ga Contessa” — wystąpi tu jako słynna „Maya obnażona”.

✱

Michele Morgan, jedna z najwy- bitniejszych i najinteligentniej- szych aktorek francuskich, wystę- puje w nowym filmie Cayatte'a pt. „Dwustronne zwierciadło”. W filmie tym znana z oryginalnej u- rody Michele grać będzie rolę ko- biety brzydkiej, której piękna twarz przywraca operacja chirur- giczna. Aby móc zbrzydnąć do tej roli Michele Morgan musiała up- rzednio poddać się skomplikowa- nym i przykrym zabiegom charak- teryzatorskim.

WW.



DE GUSTIBUS...

Spór odbiorców sztuki na temat: tradycyjna czy nowoczesna? — ma już swoją tradycję. Nieodgadnione są jed- nak — jak wiadomo nie tylko z dziedziny sztuki — przyczyny ludzkich upodobań, dla tego spór pozostaje nie rozstrzygnięty, a sztuka — zarówno ta tra- dycyjna, jak i ta nowo- czesna — kwitnie i święci sukcesy.

W Brukseli otrzymał niedawno nagrodę Mło- dego Malarstwa i Mło- dej Rzeźby Reinhout D'Haese. Tak właśnie wyglądają (zdjęcie u gó- ry) młody laureat i je- go praca zatytułowana „Ptak”.

Natomiast Sashi Mek- ra z New Delhi — po- została — jak widać — wierna szkole tradycjo- nalnej.

Ano... co kto lubi.

Fot. — CAF



Z wizytą u prof. Trampczyńskiej

56 lat nad pulpitem

Poznałam ją w czasie jed- nej z wizyt w Muzeum Narodowym. Było to przed portretem pędzla Olgi Boznań- skiej z r. 1910.

— Patrz — powiedział ktoś stojący obok mnie do swojej towarzyszy — to jest wła- śnie prof. Trampczyńska.

Małe mieszkanko zastawione skromnymi meblami. W fo- telu siedzi kobieta, o której nie wystarczy powiedzieć: „uroczą staruszka o brunat- nych oczach i białych, dobrze ułożonych włosach”.

Osiemdziesiąt dwa lata... w nich — pięćdziesiąt sześć lat pracy artystyczno-pedagogicz- nej, odznaczenie Polonia Re- stituta nadane w r. 1956, ty- tuł profesora nadzwyczajnego Państw. Wyższej Szkoły Mu- zycznej.

— Nigdy w mojej wczesnej młodości nie przypuszczałam, że będę śpiewaczką. Upłynęła ona przecież w wieku XIX. W owej epoce i w moim śro- dowisku było to nie do pomy- ślenia. A zaczęło się od „Ho- telu Lambert”, czyli szkoły śpiewu dla panien w Paryżu, założonej przez ks. Czartory- skiego ok. roku 1845 dla có- rek emigrantów polskich. Ro- dzice posłali mnie tam, bo na- leżało to do „dobrego tonu”.

— Ale ze „szkoły śpiewu dla panien” daleka była dro- ga na sceny europejskich oper?

— W moim założeniu leża- ła praca pedagogiczna. Dla- tego ukończyłam słynną pa- ryską Scuola Cantorum Vin- cent d'Indy'ego. Równocze- śnie uczęszczałam na kursy hi- storii sztuki w Sorbonie. Uzyskałam medal oddziału żeńskiego „pour l'education secondaire des jeunes filles”, z którego jestem bardzo dum- na. Niewiele było wówczas kobiet słuchających wykładów w Sorbonie, a przy tym nie wolno im było studiować ra- zem z mężczyznami. Pani się śmieje? Ja też... Tymczasem Jan Reszke, śpiewak świato- wej sławy, który prowadził szkołę śpiewu w Paryżu po- wiedział mi: — Jeśli pani sa- ma nie przejdzie przez scenę i estradę, nie będzie pani wie- działa, czego wymagać od uczniów.

— I to był ten najbardziej przekonujący argument?

— Chyba tak. Po raz pierw- szy wystąpiłam w oratorium Bacha, w zespole V. d'In- dy'ego. Był to rok 1904. Po-

tem — szereg koncertów sym- fonicznych w Paryżu, pół se- zonu w Warszawie w Operze, wówczas carskiej i... już „lyk- nęłam bakcyła”. Po dalszych studiach w Paryżu pierwsze engagement do Opery Kró- lewskiej w Monachium. W Bu- dapeszcie śpiewałam w Ope- rze Królewskiej w oryginalne opery francuskie po francu- sku, włoskie po włosku, a wę- gierskie — po niemiecku, by- ły to bowiem czasy mo- narchii austro-węgierskiej. Wielka wojna położyła w za- sadzie kres pracy scenicznej. Zapragnęłam wrócić do kra- ju. Po roku pracy w Operze Warszawskiej, pod dyrekcją Janiny Korolewicz-Waydo- wej, wycofałam się do pracy pedagogicznej i ta jest moim udziałem do dnia dzisiejszego.

— A jakże, kochanecko! Trzy lekcje w klasie śpiewu w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Nie licząc lekcji prywatnych.

Jaka jest tajemnica tej nie- spotykanej energii i żywotno- ści? Przed moją wizytą prof. Trampczyńska odłożyła lek- turę: najświeższe wydanie „Lot- ty w Weimarze”. Obok — pra- sa codzienna, tygodniki i mnó- stwo korespondencji.

— Poza tą gromadzącą się stale korespondencją nie mam żadnych namiatek ani foto- grafii. Wszystko „rozeszło się” między ludźmi, po wy- stawach... Zresztą nie przywią- zuję do tego wagi.

Tutaj przerywa rozmowę atak kaszlu. Nie chce dłużej przeciągać swojej wizyty.

— To nie wielkiego, po pro- stu bronchit. Wlecze się, upar- ciuch, od dwóch miesięcy.

— Trzeba go wyleczyć...

— O, nie mam na to czasu! Nie mogę przecież opuścić moich lekcji! Widzi pani, kie- dy skończyłam 50 lat, posta- nowiłam zakończyć gościnne występy, które dawałam na scenach wszystkich niemal oper polskich obok mojej pra- cy w konserwatorium — i wrócić do Poznania, aby tu spokojnie umrzeć. Wydawało mi się wtedy, że teraz pora już umrzeć. A ja żyję i żyję... I dopiero teraz żal mi będzie umierać.

Mimo tych słów złotobru- natne oczy patrzą przed sie- bie ze spokojem. Jest w nich dużo światła...

W sąsiednim pokoju czeka uczennica.

Urszula ZAWIDZKA

RENTGEN i KURCZĘTA

— Najgorsze, że nie mogę poświęcić już tyle godzin na badania naukowe — mówił z żalem rektor WSR, prof. dr. Gawęcki. — W Katedrze Żywności Zwierząt rozpoczęliśmy tyle badań... O, proszę bardzo, niech pan spojrzy i porówna — zwrócił się do mnie, wskazując na rentgenowską kliszę.

Przybliżyłem się z zaciekawieniem. Na jednej serii klisz widać było zarysy kości grubych, dobrze zbudowanych, w innych — piszczele drobne, niedorozwinięte, najwidoczniej krzywicze.

Miałem przed sobą zdjęcia... kurcząt.

✱

— Oczywiście, ich „wiek” jest taki sam — potwierdził prof. dr. Gawęcki. — Tylko nieco inaczej je żywiono. Szukamy takich zestawów pasz, które przyniosłyby jak największe korzyści w hodowli.

Z zainteresowaniem słuchałem opowiadania o doświadczeniach, przeprowadzanych w Katedrze Żywności Zwierząt poznańskiej Wyższej Szkoły Rolniczej.

Już od dawna zauważano, że do dania pewnej ilości drożdży do paszy, wpływa korzystnie na rozwój organizmów zwierzęcych, zwłaszcza drobiu i trzody chlewnej. W drożdżach znajduje się bowiem wysokowartościowe biologicznie, łatwo przyswajalne przez orga-



nizm zwierzęcy białko oraz pokarm. Drożdże zawierają „B” i „D”. Prowitaminy te stają się aktywne, jeżeli drożdże naświetli się promieniami ultrafioletowymi.

Zaczęto więc naświetlać drożdże specjalnymi lampami kwarcowymi i dodawać do karmy. Od czasu do czasu kurczęta wędrują pod rentgen — dla skontrolowania zdrowotności organizmu i tempa rozwoju kości. Rezultaty oglądałem przed chwilą. Drób żywiony naświetlonym pokarmem rośnie rzeczywiście jak na drożdżach.

— Podobnie szybko przyrasta również trzoda chlewna, żywiona karmą z dodatkiem drożdży naświetlonych — wyjaśniał dalej profesor. — Obecnie przeprowadza się doświadczenia nad bydlęciem mlecznym dla zorientowania się, czy w ten sposób nie będzie można podnieść jego zdrowotności i wzbogacić o witaminy wartości odżywcze mleka. Takie witaminizowane mleko byłoby szczególnie cennym pokarmem dla dzieci. W większym stopniu chroniłoby je przed skutkami krzywicy.

Pytałem prof. Gawęckiego o bliższe szczegóły. Podobnie jak przeważająca większość poznańskich naukowców jest skromny i nie chce reklamować swoich osiągnięć.

— Widzi pan, tu nie można jeszcze podawać dokładnych cyfr, bo wszystko zależy od warunków, w jakich żyje drób. Doświadczenia prowadzi się najpierw w warunkach laboratoryjnych i dopiero po kilkakrotnym sprawdzeniu w terenie można je zalecić praktykom rolniczym. Uniknie się w ten sposób ewentualnych pretensji wobec naukowców.

Ostry terkot telefonu przerwał rozmowę.

— Na temat wartości pastewnej wszelkiego rodzaju drożdży napisano już setki prac naukowych w różnych krajach, ale Katedra w Poznaniu prowadzi doświadczenia w innym kierunku — kontynuował po chwili profesor. — Staramy się badać różnice w wartości odżywczej suszonych drożdży, pochodzących zarówno — jako produkt odpadkowy — z browarów i gorzelni, jak też produkowanych z wyłącznym przeznaczeniem dla celów pastewnych, oraz określić wartości biologiczne (przeciwrzywiczne) różnych gatunków drożdży naświetlonych promieniami ultrafioletowymi.

W każdym razie, dotychczasowe doświadczenia wykazały, że dodawanie drożdży suszonych do paszy jest szczególnie korzystne w żywieniu tych zwierząt, których organizm nie potrafią syntetyzować witamin. Ma to ogromne znaczenie w zimowym żywieniu zwierząt, które najczęściej jest w tym okresie w naszych gospodarstwach niedoborowe.

✱

Każdy kto bywa w Katedrze Żywności Zwierząt, zauważy, że próby z drożdżami nie są jedynymi doświadczeniami prowadzonymi tutaj od lat. Mgr Marczak opracował pracę kandydacką, omawiającą próby z stapiania drożdżami naświetlonymi mleka w żywieniu prosiąt ssących. Inni asystenci badają wartość odżywcze odpadków, uzyskiwanych po ekstrakcji nasion różnych roślin olejnych. Określają wpływ różnych metod konserwa-

cji i przyrządzania pasz na zawartość w ziemiach trującego związku, zwanego solaniną. Prowadzą badania nad zawartością mikroelementów w paszach treściwych.

— Jakże wnioski wysunęto z tych doświadczeń dla praktyki?

Rektor Gawęcki zastanowił się przez chwilę.

— W czasie badań okazało się na przykład, że szkodliwa dla organizmu zwierzęcego solanina nie ginie całkowicie podczas parowania, czy kizensia, jak powszechnie uważano, lecz przemieszcza się w poszczególnych warstwach. Najwięcej jej gromadzi się w warstwach dolnych, co przy niewłaściwym żywieniu może nawet prowadzić do zatrucia. Badamy również w jakich warunkach można skarmiać lęty ziemniaczane, aby to nie wpływało ujemnie na zdrowie zwierząt, lub pochodzące z nich produkty. Podobne badania przeprowadza się z innymi roślinami.

— Trzeba dodać, że Polska jest dziwnym krajem. Z jednej strony odczuwamy poważny brak pasz, a z drugiej — ogromne ich ilości marnują się na skutek niewłaściwego zbioru, przechowywania i nieracjonalnego skarmiania. Ile to jeszcze potrzeba pracy, aby przekonać nasze społeczeństwo, że dla pokrycia deficytu paszowego w Polsce i postawienia produkcji zwierzęcej na właściwym poziomie nie najważniejszą jest zwiększenie arealu pod rośliny pastewne czy zakup pasz treściwych, lecz właśnie racjonalne gospodarowanie i właściwe wykorzystanie już wyprodukowanych pasz.

Rozmawiał:

Br. LISOWSKI



Jak dotychczas, istnieje kilka recept na wywołanie lub przeciwdziałanie deszczowi. Podajemy króciutki ich spis.

ZASTRZYKI W CHMURY. Najstarszą metodą jest rozpraszanie w chmurach przy pomocy samolotu drobniutkich kryształków zamrożonego kwasu węglowego lub jodku srebra. Kryształki te, o niskiej temperaturze, tworzą jądra deszczu, a więc — spadając „obrasają” kropelkami pary, by następnie wywołać coraz to większe krople i tym samym opad deszczu.

KŁOSZ NA MORZU. Na ten oryginalny pomysł wpadł geodeta (!) amerykański w laboratorium badawczym w Denver (Colorado). Przeprowadzili oni badania nad całkowicie bezpiecznym dla zdrowia i życia biologicznego oraz pozbawionym smaku składnikiem szminki do malowania warg. Srodek ten „Hexadecanol” może na rozpuszczać i rozlać po powierzchni morza. Tworząca się cienka powłoka żelatynowa przeszkadza parowaniu oceanu — a tym samym ogranicza ilość deszczu w określonych rejonach. Jak taki „kłosz” na oceanie działa na życie organiczne, a przede wszystkim na ryby, które potrzebują tlenu — o tym projektodawcy milczą.

ŚNIEG POSYPANY SĄDZĄ. W Związku Radziecz-

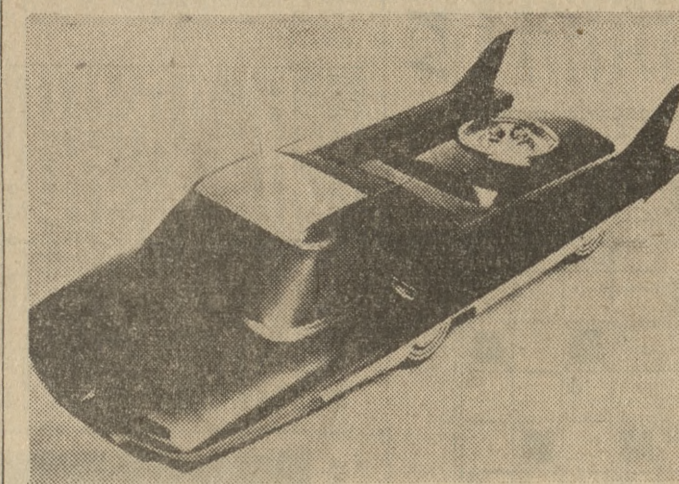
Nowości z kraju i ze świata

„HISTORIA ZAKONNICZY” oparta na autentycznych wspomnieniach młodej zakonniczki belgijskiej w Kongo była jednym z „bestsellerów” USA w ub. roku. Znany reżyser amerykański Fred Zinnemann przystąpił do nakręcania filmu na ten temat. Główna, niezmiernie trudną rolę grać będzie znakomita **Andrey Hepburn**. (bi)

ZAKŁADY BUDOWY OKRETÓW na wyspie Wright prowadzą studia badawcze z modelami podwodnych olbrzymów. Jeden z nich — podwodny tankowiec atomowy — ma mieć nośność 100 000 ton! Jego szybkość ma dochodzić do 60 węzłów (ok. 100 kilometrów na godzinę).

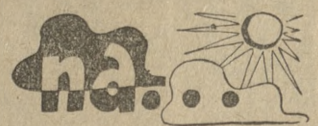
ELEKTRONOWE ZEGARKI produkuje jedna z firm francuskich. Mechanizm zegarka porusza miniaturowy silniczek elektryczny o mocy 1,5 stumilionowej części KM, zasilany przez baterię wielkości ziarnka grochu. Zegarki elektroniczne nie „tykają”; ich zaletą jest mała wrażliwość na zmiany ciśnienia atmosferycznego. (mz)

SAMOCHOODY ATOMOWE zamierzają produkować Zakłady Forda. Na razie zdemontowano model tego pojazdu przyszłości. „Nucleon” wyposażony jest w pojemnik, który zawiera ładunek atomowy wystarczający na przejechanie około 8000 km. Ładunek znajduje się w tyle wozu, między plecami ogonowymi (patrz zdjęcie niżej).



Pewne koła amerykańskich militarników rozszerzają dziś oczy ze strachu. Powiadają, że radzieccy uczeni przygotowują w tajemnicy nową broń, którą można by nazwać „wojną meteorologiczną”. Według oświadczeń składanych tu i ówdzie przez pewne koła amerykańskich uczonych, Związek Radziecki jest w posiadaniu środków, które zdolne będą zmienić klimat centralnej Azji i Syberii, a tym samym „wpłynąć na zmianę pogody przynajmniej części Ameryki Północnej i sojuszników Stanów Zjednoczonych”.

Pogląd ten wydaje się nam zbyt jednostronny. Zmiany klimatyczne i wpływ człowieka na te zmiany mogą się przebiegać bardzo korzystnie na gospodarce, a szczególnie na sprawach żywiołowych całej ludzkości — i w tym niewątpliwie kierunku pracują radzieccy uczeni, którzy — zdaniem Amerykanów — mają największe osiągnięcia w dziedzinie praktycznych badań nad regulacją pogody. Warto tu również zauważyć, że wielu wybitnych uczonych reprezentuje pogląd, iż każda ingerencja człowieka w układy klimatyczne — może mieć różnorodne wpływy. Do akcji tego typu trzeba więc podchodzić z ogromną ostrożnością.



kim od lat stosuje się posypywanie śniegu sadzą lub farbowaniem czarnym proszkiem (samolot lub traktor). Pod wpływem działania promieni słonecznych topienie północnych śniegów (a tym samym wilgotności powietrza) przyspiesza się o całe tygodnie. Warto zaznaczyć, że jest to sposób prosty, wypróbowany, nie przynoszący ubocznych komplikacji. Łagodzi on klimat, nie wprowadzając dramatycznych zmian.

REGULACJA PRĄDÓW MORSKICH. Daleko śmielszą myśl rzucił radziecki uczeni, proponując wspólnymi siłami — na przykład z Amerykanami — budowę gigantycznej tamy w cieśninie Behringa, która to tamą przeciwdziałałaby zimnemu prądowi polarnemu, a tym samym zmieniłaby klimat sąsiednich rejonów. Przedsięwzięcie to jest bar-

Hitler pod ogniem V-1

W poprzednim odcinku podawaliśmy, jak wywiad angielski wspólnie z francuskimi „maquis” próbował uprowadzić płk. Maxa Wachtla, dowódcę jednostki przygotowującej się w Pas de Calais (półn. Francja) do ostrzelania przy pomocy V-1 — obszaru wielkiego Londynu. Hasło „Rumpelkammer” miało wzywać do rozpoczęcia ostrych przygotowań do pierwszego strzału. Od rzucenia hasła — do wypuszczenia pierwszej latającej bomby miało upłynąć dziesięć dni.

W głębokim bunkrze betonowym, 24 m pod ziemią, najbliżsi współpracownicy płk. Wachtla obchodzili 6 czerwca urodziny swego szefa aż do późnej nocy. W tym czasie dotarli tam meldunek telefoniczny „Doktor Gustaw West”. Oznaczało to, że alianci wylądowali.

Nawiasem mówiąc — w najbardziej nieoczekiwanym dla Niemców miejscu, w trudno dostępnym rejonie Cherbourg, alianci, zaimm Niemcy przystąpili do budowy systemu obronnego na brzegu Atlantyku, znali jego szczegóły. Dokładne plany zdobył pewien malarz pokojowy, nazwiskiem René Duchez, 8 maja 1942. Malując ubikacje w zarządzie Organizacji Todta, znalazł komplet planów. Nawiał kontakt i pociągnął za sobą do Anglii.

Alianci wdzierali się coraz głębiej w teren kontynentu — i wtedy z Głównej Kwatery Führera — padło hasło: „Rumpelkammer!” Obsługa baterii ze stanowisk przygotowanych wychodziła na pozycje ogniowe. Żołnierze pospiesznie montują wielotonowe wyrzutnie. Naukowcy, którzy przylecieli z Peenemünde, dokonują ostatnich obliczeń z planem wielkiego Londynu w rękach. Równocześnie lotnictwo alianckie bombarduje okoliczne linie kolejowe, dworce, baterie. Rozpoczyna się walka — kto pierwszy?

Sekunda „X”

Pod wieczór 12 czerwca do bunkra dowództwa przybył

gen. Heinemann, komendant wspomnianego korpusu. Krótko po godz. 21 baterie meldowały kolejno gotowość otwarcia ognia. Przez megafon połączony z bateriami brzmiał głos dowódcy: „Achtung! Startbefehl! Noch vier Sekunden, drei, zwei, eins... Null!”

Była godzina 22.04.

„Das Oberkommando” niepokoi się

Ponad Kanałem La Manche przeleciały piekielne maszyny, zostawiając za sobą ogniste ślady. Żołnierze na brzegach myśleli, że to uszkodzone samoloty, pionąc — usiłują wrócić do bazy. Angielska obrona przeciwlotnicza nad brzegiem Dover wiedziała jednak, co oznaczają świetliste smugi. Nad Londynem zawył syreny. Drugiego dnia o godzinie 10 rano radio podało wiadomość o pierwszym ataku niemieckich latających bomb.

Zupełnie przypadkowo pierwsza V-1 zniszczyła dom tego oficera Intelligence Service, który chciał porwać płk. Wachtla. W gruncie rzeczy jednak — pierwszy atak na Londyn się nie udał. „Welt am Sonntag” podaje, że na 90 V-1 tylko pięć lub sześć opuściło wyrzutnię, by wystartować do odwrotowego lotu. Reszta nie zdołała uciec się w powietrze. „Zemściło się — stwierdzają autorzy cyklu — zbyt pociągłe danie rozkazu ogniowego”.

Pierwszy atak na Londyn zawiódł. Dlatego też już następnego dnia wczesnym rankiem z bunkrem w Pas de Calais połączył się gen. Jodi, zarzucając dowódcy „Sonderreinheit” samowolne rozpoczęcie ostrzelkiwania Londynu. Płk Wachtel zasłonił się wyraźnym rozkazem dowódcy LXV Korpusu Armii.

Mimo to dwa dni później zjawiła się komisja śledcza Abwehry i tylko interwencja gen. von Gyldefeldt uratowała pułkownika od niebezpiecznych konsekwencji. 9 listopada 1944 roku odbyła się rozprawa przeciwko Wachtlowi przed Sondergerichtem, który, jak wiadomo, większość podsądnych skazywał na śmierć. Tym razem „rehabilitowano pułkownika całkowicie” — stwierdzają z satysfakcją A. Bährwolf i H. W. Praga w „Welt am Sonntag”.

Przyczyna tego procesu była jednak inna.

Kapryśne pociski

Gdy już atak V-1 rozwinął się w pełni i latające bomby zaczęły naprawdę wywoływać panikę wśród ludności Londynu (milion ewakuowanych w ciągu pierwszych godzin) Adolf Hitler zaprzagnął osobiście zobaczyć „swoją” broń od wetową w akcji. Zjawił się w podziemnym bunkrze pułk. Wachtla i gdy zadowolony wychodził z niego, od strony brzegu angielskiego nadciąła samotna V-1 i lotem nurkowym zbliżała się ku twórcy „Tysiąclecia Rzeszy”. Wybuchła, niestety, kilkadziesiąt metrów od niego. Gestapo i Abwehra wzięły się do dochodzeń.

Tymczasem V-1 była bronią skomplikowaną. Jej sterowanie było skomplikowane, urządzeniem żyroskopowym, o bardzo czułej membranach; tak czułej, że wystarczyła najmniejsza pylek, by działała hamująco. Dlatego na każdej latającej bombie działała stacja nadawcza, której sygnały pozwalały oddziaływać niemieckim na stałą radiolokację kapryśnego pocisku, i ewentualną obronę przed V-1. Taki właśnie wypadek zdarzył się, gdy Hitler odwiedzał bunkier dowodzenia na terenie baterii V-1 w Pas de Calais.

Anglicy jednak, znając fałę, na której pracowała stacja nadawcza, próbowali stacjami radiowymi (na krajoznikach) o wielkiej mocy zagłuszać sygnały i w ten sposób powodować upadek V-1 do morza — nim doleci do brzegów Anglii. To, niestety, się nie udało. Próbowali więc Anglicy bronić się zaporami balonowymi, lecz Niemcy odpowiedzieli uzbrojeniem przedniej części skrzydeł w ostre noże, które cięły liny balonowe jak nitki. Dopiero gigantyczne zmasowane artylerii przeciwlotniczej i akcja wyszkolonych pilotów myśliwskich spowodowała, że Londyn mógł odetchnąć z ulgą.

Nie na długo, bo w bazie Peenemünde szykowała się nowa, straszna niespodzianka. (J)

Spór chirurgów o metodę doktora Kuxa

Wymieniony w tytule Austriak dr Kux jest docentem uniwersytetu w Innsbrucku i bardzo dobrym chirurgiem. Twierdzi on, że przyczyny większości chorób, których najczęściej nie da się leczyć inaczej jak drogą operacyjną — wiąże się z działalnością połączeń nerwowego systemu w gałęziach z centralnymi ośrodkami mózgowymi. Ten problem medyczny, znany już od wielu dziesięcioleci, pchnął dr. Kuxa do prób operacyjnego przerwania połączenia. Docent z Innsbrucku twierdzi, że łączność ta jest równie niepożądana, jak wyrostek robaczkowy czy migdalki.

Do tej chwili dr Kux przeprowadził około 3 000 operacji, które sprowadziły do niesłychanie prostego zabiegu: otworzenia klaki piersiowej przy użyciu bawarskiego (wziernik z lampą i zaopatrzony małym nożem chirurgicznym. Zabieg, prowadzony przy znieczuleniu miejscowym, jest łatwy; pacjent najczęściej po dwu dniach wychodzi z kliniki, pozbywając się cierpienia wrośniatego, wrzodów żołądka, niedomagania nerek itp.

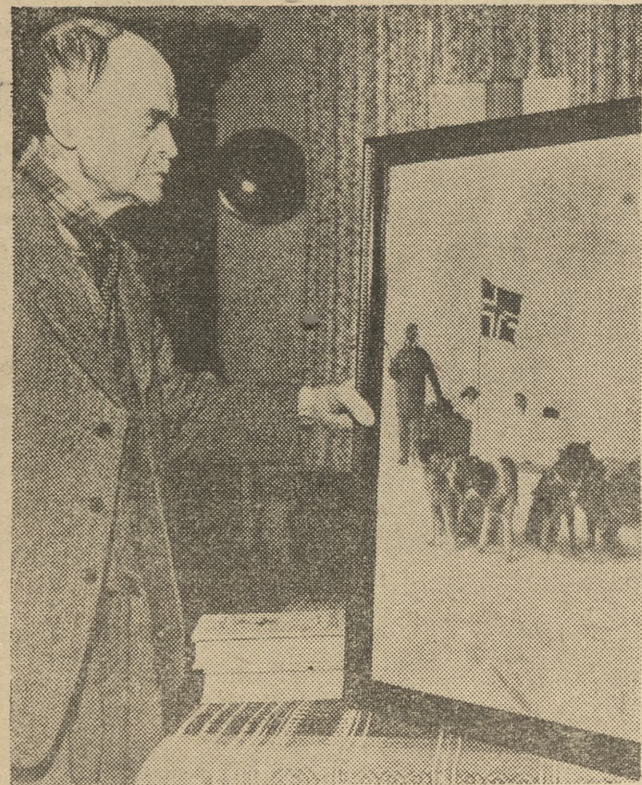
Przeciwnicy nerwów „vagus” i „sympathicus” nie przynosi tak poważnych konsekwencji ubocznych, jakby się pozornie zdawało. W tkankach serca, żołądka, pęcherza czy jelit znajdują się bowiem drobne zwoje naczyń nerwowych, które samoczynnie regulują wiele procesów — niezależnie od dyspozycji centralnego układu nerwowego. Koncepcja dr. Kuxa polega na zaufaniu do owej autonomicznej działalności, zgodnej z biologicznym interesem konkretnego organu. Chirurg austriacki dowodzi optymistycznie, że przez odłączenie nerwowego systemu wegetatywnego od chorego organu — uda mu się leczyć choroby naczyniowe, „anginę pectoris”, cukrzycę a nawet gruźlicę, w co inni lekarze powątpiewają.

Wybitny niemiecki chirurg prof. Reichauer twierdzi, że choć kolega z Innsbrucku przeprowadził tyle operacji, to jednak na wyniki trzeba poczekać. Kilku poważnie nieuleczalnie chorych, których miał pod swoją opieką prof. Reichauer, zostało oczywiście wyleczonych metodą dr. Kuxa, lecz nie wiadomo, jak pacjenci będą się czuli w przyszłości. Dlatego trzeba odczekać z upowszechnieniem nowej metody. W każdym razie, jeśli chodzi o leczenie chorób naczyniowych, okazuje się, że po przecięciu połączeń systemu wegetatywnego następowało niedokrwienie mózgu (wskutek spadku ciśnienia) i choroby stawały się apatycznymi, duchowo oteplali. Stąd w wypadku tej choroby wiadomo już, że „metoda innsbrucka” można stosować tylko wyjątkowo.

Być może, że dr Kux jest pionierem nowoczesnej, uproszczonej chirurgii. Musimy jednak poczekać na spokojną naukową weryfikację jego koncepcji. (ski)

WSPOMNIENIE z BIEGUNA

85-letni Olav Olavson Bjaaland z Telemarku jest jedynym żyjącym członkiem wyprawy Amundsen z roku 1911. Do dziś interesuje się on bardzo problemami „polarnymi”, a na wieść o niedawnych zdobyciach Bieguna wysłał na Antarktydę depeszę gratulacyjną.



Pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą „NOWEGO ŚWIATA”

Patrząc na to historyczne zdjęcie Bjaaland, z dumą wspomina pamiętną chwilę zatknięcia norweskiej flagi na Biegunie Południowym.



Oto stary pistolet (prezent od Amundsen), który służył do zabijania fok i psów, padających z wyczerpania podczas wyprawy.

Fot. (3) CAF

SAINT LAURENT HISTORIA ciekawostki

JUTROSIN, ongiś Jutroszyn, od Jutrocha, pierwsza data 1281. Miasto to szybko podupadło. Trzeba było je na nogi postawić w r. 1580. W XVI wieku tedy szło sukcesem do Polski.

21 sierpnia 1794 roku burmistrz tego miasta, Walenty Zatorski, zwołał mieszczan na ratusz, tam wydał polecenie, aby zbrojni na rynku oczekiwali nadejścia powstańców i z nimi się połączyli.

Dwa dni czekali na ich przyścislenie. Dopiero 24 sierpnia przybył oddział Umińskiego. Z ratusza zleciały orły pruskie, w mieście zapanowała radość i — niepokój. Duże siły pruskie zaczęły się zbliżać.

Burmistrza Zatorskiego i proboszcza Gogolewskiego przesyłała zdradę ujęli żołnierze pruscy.

JASKÓŁKI pow. Ostrów. W końcu czerwca 1731 roku wojewoda chełmiński Franciszek Billiński cały klucz ostrowski, do którego należały Jaskółki, przekazał w dzierżawę niejakiemu Krommopiotrowskiemu.

Nowsze ówczesne chałupy obejmowały po izbie, izdebce, komorze i sieni, mniejsze po izbie, sieni, komorze. Była tu i karczma, w której raczył wódką karczmarz Frank. I oto wyjątek z opisu:

„Idąc nazad przez podwórze ku wrotom, stoi gąsior na chłopów z wrzeczadłem (łańcuchem — p. m.) i skobkami żelaznymi. Przy nim studnia ocembrowana z chowanym władrem i żorawiem.”



— Znowu mnie zdradzasz z tą grubą Mańką!



Kilkanaście godzin przekopywali się przez zaspy śnieżne żołnierze i policjanci, zanim dotarli wreszcie do zasypanego niemal zupełnie pociągu elektrycznego i ledwie żywych pasażerów. Działo się to niedawno na trasie elektrycznego pociągu, jadącego z Ancony do Rzymu i unieruchomionego w śniegu przez szalejącą burzę.

Owoc miłosnych perypetii Napoleona — w Kórniku

Wiadomo, iż Napoleon Bonaparte, nim został cesarzem i zawiązywał Europę, był skromnym porucznikiem artylerii. Nie wszystko jednak wiadomo o jego prywatnych słabościach i upodobaniach.

W roku 1794 Napoleon był już inspektorem pobraża Południowej Francji, generałem, i stacjonował w Marsylii. Tam spotkał swego brata Józefa, który lubił dobre towarzystwo. Józef wprowadził Napoleona do salonów Marsylii. W jednym z nich, należącym do znanego kupca Clary — Napoleon spotkał przepiękną dziewczynę. Była ona córką pana domu. Zakochał się bez pamięci.

Obiekt miłości Napoleona — Eugenia Dezyderia — dziewczę, mające 16 lat, początkowo chętnie słuchało tyrańdy Napoleona. Gdy jednak poczęła okazywać swą nieumiarkowaną dumę — Eugenia Dezyderia zwróciła młodemu generałowi słowo...

Pod wpływem kosza — Napoleon zaczął pisać autobiograficzną powieść „Clisson et Eugenie”. Powieść, jak każda moda, toczyła się w stylu romantycznym, karty wzdymały się od westchnień i zawziętych miłosnych mów bohatera, wzgardzonego przez ukochaną.

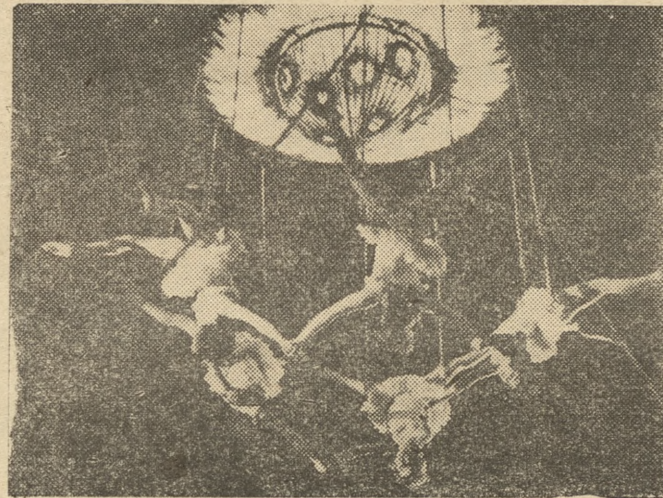
Rękopis rozrósł się niebawem i ważył już kilka funtów a kart jeszcze przybywało, gdy nagle rozkaz rzucił Napoleona w inne strony. Powieść poszła na dno kufra, ale... była już dokończona, a nawet pewne partie zostały opracowane przez romantycznego generała do druku.

Historia chciała jednak inaczej: Napoleon nie zdążył zebrać laurów pisarza, bowiem wkrótce poczęł błądzić na firmamencie gwiazd teatru Marsa, boga wojny. Dezyderia Eugenia wyszła tymczasem za mąż za Bernadotte'a, marszałka Francji, którego „bóg wojny” uczynił królem Szwecji.

Jak wiadomo, Bernadotte był jedynym z królów stworzonych przez Napoleona, który zachował koronę po upadku cesarza. Dodajmy, że utrzymał ją tylko dlatego, iż w momencie przygasania gwiazdy Napoleona skierował swe armie przeciwko swemu dobroczyńcy... Kto wie, czy nie było w tym ręce Eugonii Dezyderii? Historia milczy dyskretnie na ten temat...

No dobrze, ale skąd Kórnik? Otóż w roku 1822, twórca muzeum w Kórniku — Tytus Działyński, zbieracz wszelkich osobliwości i cennych książek, zakupił na publicznej licytacji w Paryżu stos rękopisów Napoleona, płać dosłownie... wagą złota: z jednej strony kładziono na szalce rękopis, z drugiej — Działyński syłał złoto... Wśród tych rękopisów znalazł się egzemplarz owej nie wydanej przez Napoleona powieści autobiograficznej. Zakupione rękopisy zawiózł Działyński do swej kórnickiej biblioteki, gdzie do dnia dzisiejszego można je oglądać. (ig)

WIZYTA w CYRKU

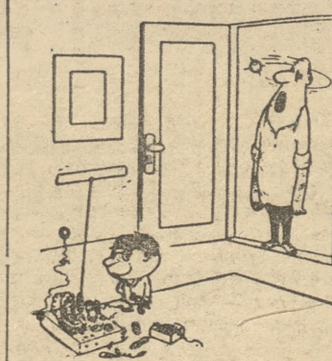


Satelita? Gdzie? W Poznaniu... Ołbrzymi kłosa lampy-słońca i skapane w łagodnych refleksach światła — dziewczęce sylwetki. Zawisłe na trapezie, czarują widownię płynnością ruchów i precyzją akrobatycznego popisu. Widowisko „Satellit” zdobywa coraz liczniejszych satelitów wśród zachwyconych poznaniaków.

kapitału, 4 — Stale miejsce pracy, 5 — Podziałka na mapie, 6 — Mineral, odmiana ortoklaz, 7 — Bryła geometryczna, 8 — Rozpuszczalnik lakieru do paznokci, 9 — In. Latona, kochanka Zeusa, 15 — Wynik, skutek przedsięwzięcia, 18 — Zwierzę ssące z rodziny wiewiórecznych, 20 — Gra hazardowa w kasynach gry, 21 — Służ do kichania, 23 — Dawny nadzorca robotników rolnych, 24 — Zawilec, roślina ozdobna, 26 — Papugi brazylijskie, 27 — Drzewo liściaste, 28 — Imię biblijne, syn Judy, 30 — Miaso na Węgrzech nad Maroszem, 31 — Piękny werniks chiński.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem: „Nowy Świat”, Poznań, ul. Grunwaldzka 19, najpóźniej do dnia 13 bm.

Autorzy bezbłędnych rozwiązań otrzymują nagrody książkowe.



— Mam już dość twoich wynalazków!

Jak już pisaliśmy w ub. tygodniu, następcą Dora — Saint Laurent lansuje tak zwaną „linię trapez”. Dziś prezentujemy ten trapezowy model, nazwany Maskarada, suknią z błękitnej tafty, ozdobioną turkusowymi kokardami.

Fot. — CAF



A tak oto wygląda triumfalna poza króla stoniowej rumby



Po wyczerpującej galopadzie, maleńki odpoczynek na pustyni... areny szwedzkiego cyrku Trolle Rhodina Zoo-Cirkus pod czujnym okiem Bedulina (Kurta Jägera).

Zdjęcia (3): K. Przychodzki

Na ogłoszony w ub. tygodniu

TURNIEJ BRYDŻOWY PARAMI

wpłynęły już pierwsze zgłoszenia. Dziś podajemy dalsze szczegóły turnieju.

A więc rozgrywki odbędą się pod koniec marca br. (dokładną datę podamy później). Ponieważ większość zgłaszających się wypowiedziała się stanowczo za zapisem międzynarodowym (Contract-Bridge), informujemy, że turniej będzie rozgrywany tym właśnie zapisem. Tym uczestnikom, którzy dotychczas nie grali Contract-Bridge'm, radzimy więc zaznajomić się z jego zasadami.

Powtarzamy — w naszym turnieju, organizowanym przy współpracy Sekcji Brydża Sportowego Okręgu Poznańskiego, może brać udział każda zgłoszona para (2 zawodników), niezależnie od wieku, płci i przynależności klubowej. Najlepsza para zdobywa Puchar Przechodni „Nowego Świata” na rok 1958, inne — dyplomy i nagrody rzeczowe (ich listę ogłosimy później).

Chętni mogą zgłaszać swój udział pod adresem: „Redakcja „Nowego Świata”, Poznań, Grunwaldzka 19 (pok. 66)”, podając nazwisko i adres zawodników (pary) z dopiskiem na kopercie „Turniej”. Dalsze szczegóły — wkrótce.

PS Przy okazji prostujemy błąd, który zakradł się do ostatniego „kącika brydżowego”. Za zrobienie partii pisze się 200 punktów, za zrobienie robra — 500 p., albo zapisu za zrobienie partii nie notuje się, ale wówczas za zrobienie robra piszemy 500 p. (gdy przeciwnicy są bez partii), i 700 p. (gdy mają partię). Wychodzi na jedno, z tym, że ostatni sposób punktowania jest bardziej rozpowszechniony. Za pierwszą nadrobną w grze bez atu pisze się 40 p., za każdą następną — po 30.

KRZYŻÓWKA

POD RED. L. RUDKOWSKIEGO

Poziomo: 1 — Pomieszczenia fabryczne, 5 — Drapieżne zwierzę z rodziny psów, 10 — Wiersz miłosny, 11 — Przydomek Musoliniego, 12 — Krasnolud, krzew o liściach zawierających kokainę, 13 — Przedmiot o znaczeniu magicznym, 14 — Imię bohatera jednego z filmów polskich, 16 — Porą roku, 17 — Materiał opatrunkowy, 19 — Muza pieśni miłosnych, 22 — Miejsce walk gladiatorów, 25 — Zwrot staropolski, 27 — Kula ziemna, 29 — Ludzie zniedołężni, 32 — Oryginalne imię żeńskie, 33 — Kraj w Indochinach, 34 — Napad, 35 — Styl w architekturze, 36 — Owoc południowe, 37 — Kraj na Półwyspie Arabskim.

Pionowo: 1 — Grecka bogini ciemności, 2 — Biblijne imię męskie, 3 — Rentowne umieszczenie

